



Mirosław Derecki

ŚRODOWISKO LUBELSKIE (16) MIĘDZY GRANICZNĄ A UNICKĄ

Nigdy nie miałem możliwości osobistego poznania księdza Ludwika Zalewskiego, tego niezwykłego człowieka: historyka i literata, bibliofila, pedagoga i działacza kulturalnego. A poza tym – podobno – wspaniałego kompana na intelektualnych biesiadach, które przez wiele lat odbywały się w jego domku, niewielkiej willi przy ulicy Granicznej 1c. „Kim był ks. Ludwik Zalewski? Najkrócej można odpowiedzieć, że była to indywidualność zgoła renesansowa – w swoim bogactwie, skomplikowaniu i pięknie” – napisał o nim niedawno Jan Smolarz na łamach lubelskiego kwartalnika literackiego „Akcent”. Ale już w latach trzydziestych, jeden ze stałych uczestników literackich spotkań na Granicznej, Józef Czechowicz głosił chwałę zacnego Profesora i Dyrektora:

Kto nam otwiera dusze choć bez korkociąga?

Kto nas książek wielowiecznych raduje widokiem?

Kto wino z kredensika dla gości wyciąga?

Kto nie częstował nigdy malinowym sokiem?

Kto trzyma cną kompanię na barkach i głowie?

Kto o porze północnej smutki z nas wypędza?

Myszę, że grono całe jak jedne mąż powie:

W górę księdza!

Kiedy po raz pierwszy pojawiłem się w redakcji „Kamień” – było to ciemne grudniowe popołudnie 1957 roku – uwagę moją zwróciła połyskująca na ścianie, w świetle gabinetowej lampy stojącej na biurku naczelnego redaktora, Marii Bechcyc-Rudnickiej, wielka fotografia: wykonany przez Hartwiga portret starego mężczyzny o mądrym, ciepłym spojrzeniu, ubranego w sutannę. Ludwik Zalewski nie żył już od pięciu lat. Zmarł w połowie 1952 r. wtedy właśnie, gdy na maszyny drukarskie wchodził pierwszy numer przywróconej znów życiu „Kamień”. Kazimierz Andrzej Jaworski zdołał jeszcze włamać na szpalty pisma pożegnalny nekrolog.

Obecnie redakcja mieściła się na parterze domu księdza i był to jakby ostatni, pośmiertny dar autora wydanej w 1939 r. „Antologii współczesnych poetów lubelskich” dla tutejszego środowiska literackiego.

Coś z tradycji dawnych spotkań w „literackim salonie” księdza Zalewskiego pozostało na zawsze w murach jego domu: w „Kamieniu” nie gardzono życiem towarzyskim a to się często wiązało z dobrym jadłem i napitkiem, wspomaganymi jeszcze pięknymi słowem i celnym dowcipem. Kto opíše owe imieniny, przyjęcia z okazji otrzymanych nagród, przedświąteczne „rybki”, w czasie których kielich krążył wódko, a Konrad Bielski na zmianę z Zygmuntem Mikulskim recytowali strofy poetów i wieszczów? W kuchni krzątały się: sekretarka, Olga Gajewska i siostrzenica księdza, p. Zosia Cymkowa, matka dorastającej Halinki, której pisywałem o d czasu do czasu – w tajemnicy – wypracowania z języka polskiego. Z ogródka ciągnął wieczory zapach floksów, poszcze kiwały w ciemności ponury kundel „Boy” i spontaniczny ratlerek „Bilek”. Wychodziliśmy na chwilę na dwór, siadaliśmy na ławeczce przed drewnianą altanką, aby w chłodnym świetle księżycy otrzeźwić głowę...

Przy długim stole, pod portretem księdza Zalewskiego, rysowałem makiety „Kamienia”. Przyszedłem do redakcji na miejsce poety i tłumacza Heinego i Goethego, przystojnego i wczesnie posiwiąłego - co fascynowało młode poetessy - Stefana Zarębskiego, który pełnił w „Kamieniu” funkcję redaktora technicznego. Dlatego swój czas dzielić musiałem między redakcję na Granicznej a drukarnię znajdującą się na skraju miasta, przy ulicy Unickiej, Jechało się tam długo rozklekotanym autobusem lub wyjąłym z wysiłku trolejbusem, forsującym wzniesienia ulicy Lubartowskiej. A najpewniej docierało się na Unicka piechotą, skrótami biegnącymi wśród pól Czechowa i nieistniejących już dzisiaj ogrodów.

Nowy budynek Lubelskiej Drukarni Prasowej przedstawiał się wówczas imponująco. Wzniesiono go w 1956 roku i tutaj, w jasnych, przestronnych halach, znalazły pomieszczenia liczne lubelskie drukarnie i drukarenki, na czele z owianą tradycją dawną drukarnią Alfonsa Szczuki przy ulicy Buczka 12.

Z przedsionka wchodziło się do ogromnej sali na parterze, gdzie huczała maszyna rotacyjna. Na lewo była stereotypia; robiono tam ołowiane odlewy stron gazety z tekturowych matryc odcisniętych na stojącym w głębi sali kalandrze. Za przeszkloną ścianą po prawej stronie - znajdowała się hala maszyn płaskich, na których wówczas drukowano „Kamień”. Dalej był offset i długie, wypełnione drewnianymi stolami pomieszczenie zwane falcownią, gdzie dziesiątki kobiet ręcznie składały, czyli falcowały, wydrukowane arkusze gazet lub książek.

Po minięciu „rotacji” wstępowało się krainę zecerstwa: na lewo – linotypy pracujące pod okiem brygadzisty Józefa Wilkosza, starego wygi drukarskiego, co do Lublina trafił po

wojnie z Wąbrzeźna pod Toruniem; na prawo – zacernia ręczna pod wodzą Władysława Zabłockiego, doświadczonego majstra, który jeszcze przed wojną przepracował długie lata „u Pietrykowskiego” w Lublinie przy ulicy Kościuszki.

W pierwszej części zecerni ręcznej panował zawsze ożywiony ruch: dostojni metrapaże, w otoczeniu gromady „tytularzy” składających na wąskich, metalowych „organkach” gazetowe tytuły oraz uczniów donoszących „materiał” z linotypów, błyskawicznie „łamali” - czyli formowali na blaszanych tacach zwanych „szuflami” - kolejne „kolumny” gazety. Migąca w tym tłumie czupryna „Pierwszego metrapaży „Sztandaru Ludu” - Adama Trzaskowskiego lub błyskała potężna łysina Kazimierza Rosiaka. Uformowana i związana sznurkiem kolumna była odbijana na podręcznej prasie. Po ostatecznej korekcie szła „na kalander” i w końcu „do stereotypi”, skąd już wychodzący półkolisty odlew był montowany na maszynie rotacyjnej.

Wszystkie te dziwne nazwy były wiecznym utrapieniem drukarskich i dziennikarskich nowicjuszy, a nieustanym źródłem psikusów, jakie płątali im starzy „towarzysze sztuki drukarskiej”. Mówi na przykład siwy, poważny zecer do takiego adepta kunsztu Gutenberga: „Panie redaktorze: niech pan będzie dobry i przyniesie mi z tamtej sali trochę kalandra, bo ja zupełnie nie mogę sobie z tą kolumną poradzić...” A tam ryczą z radości: „A może cały kalander pan weźmie na plecy?” I pokazują maszynę ważącą, tak na oko, z półtorej tony... Albo drapie się metrapaż w głowę drukarskim „szydłem” i prosi: „Niech pan zajrzy do linotypów, redaktorze, i powie panu Wilkoszowi, że na gwałt mi potrzeba garstkę firetu...” A „firet” to przecież de facto abstrakcja: wypełniony na kolumnie „justunkiem” nieodbijający się na papierze, obszar o wielkości jednego „kwadratu”. „Kwadrat” to cztery „cicera”, trzy „cicera” to „konkordans” (drukarze mówią też: „dwa – „cicero” czyli dwa: „cicera” i jedno „cicero”, razem – trzy „cicera”), dwa „cicera” składają się na „półkwadrat”, jedno „cicero” ma dwanaście „punktów”, czcionka „petitowa” liczy sobie punktów osiem, a „nonparelowa” - punktów sześć, i tak dalej i dalej... Można przy pomocy tych wszystkich firetów, konkordansów, interlinii, borgisów, garmondów grotesków i garmondów jasnych, wersalików, kursyw, paneurop, nys, bloków ciężkich i ściągłych – zapędzić przemądrzałego młodego żurnalistę w kozi róg, zrobić z niego ignoranta, idiotę, beztalencie i w ogóle co tylko się zapragnie. Dowiódłszy dosadnie, niczym w wojsku, że tutaj nie uniwersytet, tu trzeba myśleć!”

Dlatego też, kiedy, stały metrapaż „Kameny”, Błażej Sagan, powitał mnie po raz pierwszy „na zecerni”, jako nowego redaktora technicznego, przyjrzał się przyniesionej z redakcji makiecie, a potem popatrzył na formowany właśnie przez siebie na szuflę „skład” i oświadczył w sposób podejrzanie perfidny „To jak my to mamy łamać, panie redaktorze?” –

powiedziałem szczerza: „Panie Sagani. Nie mam zielonego pojęcia! Pan się zna na łamani, nie ja. Niech pan łamie jak trzeba”... Sagan chrząknął, mruknął coś pod nosem, błysnął okularami... i zabrał się do roboty.

Zrozumieliśmy się doskonale od pierwszej chwili i nigdy nie było między nami nieporozumień lub fałszywych sytuacji. Przez długie tygodnie stałem naprzeciwko „swojego” metrapaży, patrzyłem jak wyjaśnia tajniki zawodu przydzielonemu do niego „uczniowi”, Krochmalskiemu, i sam się uczyłem. Po kilku miesiącach takiego asystowania, pod koniec „zmiany”, pan Sagan nagle chrząknął po swoim, popatrzył na mnie uważnie spoza szkieł okularów, a potem sięgnął do szuflady i zdecydowanym gestem wręczył mi „miarę”, metalową linijkę z oznaczonymi na niej drukarskimi wielkościami: „To dla pana. Przyda się”. Było to pasowanie na redaktora technicznego. Nie – jakiegoś tam „nasłanego” przez redakcję. Ale takiego, jakiego uznaje drukarz-fachowiec. Byłem naprawdę wzruszony i tę chwilę dokładnie pamiętam do dzisiaj.

Błażej Sagan działał w swoim zawodzie już wiele lat przed wojną; znał ówczesne lubelskie drukarnie oraz ludzi w nich pracujących. Ale mówił o tym w niewiele, bo miał już taką milczącą, trochę przy tym kostyczną, naturę. Brał udział w kampanii wrześniowej dostał się do niewoli, resztę wojny spędził w żołnierskim stalagu, a po jej zakończeniu przez pewien czas przebywał „na odżywieniu: w Szwajcarii. Wrócił z nigdy niezatartym w pamięci obrazem tego pięknego kraju. Lecz o Szwajcarii także opowiadał rzadko. Był milczkiem zamkniętym w sobie. W tym milczeniu pracowało się nam przecież bardzo dobrze. I żałowałem, kiedy Sagan odszedł na wczesną emeryturę, chociaż zastąpił go młody, bardzo sympatyczny i sprawny Tadzio Budynkiewicz.

Drukarze lubią robić kawały. Ale i sama drukarnia płata im figle. Mówi się o „chochliku drukarskim”. A w drukarni żyją nie tylko chochliki, lecz również gromady złych gnomów, potrafiących ludziom nieźle zaleźć za skórę. Szczęście, jeżeli się w porę zauważy ich działanie. Jeżeli nie – zdarzają się sytuacje, które nie zawsze kończą się dobrze.

Kiedyś, już po wszystkich korektach idącej właśnie na maszyny drukarskie „Kameny”, zawołał mnie do swego oszklonego „boksu” zdenerwowany brygadzysta zecerni ręcznej, Władysław Zabłocki: „Panie redaktorze, coś jest nie tak z tym tytułem!” „Co pan chce, wszystko w porządku, nie ma żadnych „literówek”, tytuł włamany jak należy!” „Ale nie gra!!! Niech pan uważnie przeczyta!” – upiera się stary drukarz. Nagle zrozumiałem: przez całą szerokość strony, biegł złożony „blokiem ciężkim”, masywną, rzucającą się w oczy czcionką, tytuł: „Stulecie śmierci(!!!) Włodzimierza Lenina”. Był to numer przygotowywany w związku z przypadającym właśnie stuleciem urodzin wodza Rewolucji Październikowej! Pomylił się „tytularz”, a my wszyscy: korektorka, redaktor techniczny, redaktor dyżurny

numeru nawet, cenzor – szukający najdrobniejszych błędów literowych w tekście, pieszcząc i hołdując numer, w obawie, żeby potem nie było jakichś ewentualnych awantur z powodu niedopatrzeń, nie dostrzegliśmy kardynalnego błędy tkwiącego, jak byk, przed naszymi oczyma. Stara prawda, że najciemniej jest pod latarnią... Gdyby nie pan Zabłocki, cały nakład musiałby po wydrukowaniu iść na przemiał. Oczywiście, jeśli błąd zauważono by przed oddaniem „Kameny” do kolportażu...

W „Kurierze Lubelskim” wybuchła kiedyś niesamowita awantura, bo na pierwszej stronie, obok zdjęcia pewnego zagranicznego dostojnika państwowego, pojawił się tytuł: „Chuligani – wysiadka”. Z czysto „technicznego” punktu widzenia rzecz była do wytłumaczenia: tytuł artykułu o chuliganach był oddzielny od zdjęcia dwupunktową linią. Ale należało, po pierwsze: taki artykuł włożyć w zupełnie innym miejscu, a po drugie: wielkość zdjęcia oraz agresywna czcionka tytułu sprawiały, że dla oka czytelnika, rozdzielająca je linia gubiła się. Jakby – nie istniała. Nam, w „Kamenie”, to odwołanie się do „złudzenia optycznego” uratowało kiedyś numer... Otóż pewnego razu, wszedłszy na halę maszyn, z przerażeniem stwierdziłem, że kończący się właśnie drukować bożonarodzeniowy numer „Kamen” ma zamiast zaplanowanej, zielonej „świętecznej” winiety, winiętę „bladozółtą!!!. Pierwsza strona pisma przypominała... jajecznicę. Pokręcił wszystko maszynista, który pomylił zaznaczony na makiecie zielony kolor ‘podstawowy’ tego numeru, z kolorem drugim, uzupełniającym... Wyobraziłem sobie w ciągu trzech sekund nieludzką awanturę, jaka za chwilę wybuchnie w drukarni, a potem w redakcji. Sytuację uratował w przeblysku genialnej pomysowości szef działu gazetowego, „Mundzio” Trzaskowski. „Panie redaktorze – powiedział. – My tu zaraz wszystko wyprostujemy. Nadrukujemy na ten żółty tytuł i na całą górną połowę strony taką wielką zieloną choinkę. Ze świeczkami, łańcuchami i bombkami. Mamy tutaj, na dziale „klocek” z choinką. Na wszelki wypadek. I potem się powie, że by był taki specjalny „plastyczny pomysł”. Myśli pan, że ktoś nie uwierzy?!?!” Miał rację. Wszyscy dali się nabrać na pomysł „pana Mundka”. (Dziś taka choinka by nie przeszła – zmieniła się technika druku „Kameny”).

Ale co się musiało dzieć np. w jednej z przedwojennych redakcji, kiedy na pierwszej stronie gazety ukazał się złożony ogromnymi czcionkami tytuł, że znana osobistość została oto odznaczona Orderem... Osła (!) Białego?! Wystarczył jeden maleńki błąd literowy, aby wynikła z tego wielka afera natury politycznej! Albo taki zupełnie przeinaczony dzięki jednej literce passus: „Nowi właściciele zastali gospodarstwo w najbardziej dramatycznym momencie...”

Z Unickiej przywoziłem na Graniczną dwa razy w miesiącu grubą paczkę egzemplarzy wydrukowanego dopiero co numeru, pachnącego jeszcze intensywnie drukarnią. Ostry zapach

farby wypełniał cieniste, poznaczone na podłodze słonecznymi plamami, wewnątrz dawnego saloniku księdza Ludwika Zalewskiego Mieszał się z zapachami płynącymi z kuchni pani Cymkowej iz wciśniętego między powojenne kamienice - ogródka.

W tym właśnie ogródku zrobiliśmy sobie kiedyś, całą redakcją, pamiątkowe zdjęcie. I owa trochę staromodna fotografia: zdjęcie grupki starych i młodych ludzi wtopionych w przyrodę, wśród kwiatów i owocowych drzew, trochę „prowincjonalne”, a trochę „sielskie”, oddaje chyba najlepiej ducha tamtej „Kameny” i tamtego zespołu z początku lat sześćdziesiątych. Żyliśmy tam i pracowaliśmy w otoczeniu drzew, zwierząt i kwiatów. W codziennej styczności z ogrodem, z cienistą altaną, z księżycem płynącym po niebie, z dziećmi sąsiadów dorastającymi na naszych oczach. I to był właśnie ów dawny, ludzki, humanistyczny wymiar pracy, któremu tak wiele zawdzięczam.

Pierwodruk: „Kamena”, 1983, nr 21, s. 5.